Bezpłatny dodatek do Nr. 162 „Głosu Narodu“.

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 11. Kraków, niedziela, dnia 14-go czerwca 1936 r.

K. H. ROSTWOROWSKI.

DNI KRAKOWA.

Proszono mnie o wtrącenie moich trzech groszy do „Dni Krakowa“. Sprawia mi to nie małą trudność, bo „u nas“, na Salwatorze nic się nie dzieje. Wisła taksamo płynie, jak płynęła, cudowny widok Ziemi Krakowskiej nie zmienia swego oblicza, wszystko „po staremu“ — cóż więc dziwnego, że przykuty chorobą do salwatorskiej, uroczej pustelni myślę o Krakowie również „po staremu“, niejako pod kątem wieczności i że nie „dni“, ale „lata Krakowa“ stają mi jak żywe przed oczami. Lata przeszłe i przyszłe. O przeszłych mówić nie trzeba. Wystarczy przejść przez ul. Mikołajską, Florjańską, św. Jana, Rynek, Jagiellońską, Gołębią, Bracką, Grodzką, Poselską i Kanoniczą i wystarczy z Kanoniczej wydrapać się na Wawel a z Wawelu plantami, Dominikańską, Stolarską i Sienną wrócić na Rynek i posilić się u Noworolskiego patrząc w kościół Marjacki, Szarą Kamienicę i kościółek św. Wojciecha; wystarczy jeden taki spacer, ażeby zrozumieć czem Kraków był, do jakiego stopnia pulsował łacińską kulturą; jak ściśle wiązał Polskę z zachodem, jak chwalił Boga istnym wieńcem wspaniałych świątyń, jak służył nauce w jednej z najstarszych wszechnic i czemu w okresie niewoli nie był dla Polaków „ścianą płaczu“, ale „ścianą pokrzepienia“, przed którą cały naród ślubował, iż „nie zginęła i nigdy nie zginie“.

Taka przeszłość zobowiązuje na przyszłość i dlatego w czasie „dni Krakowa“ czuję żal, głęboki żal do wielu rodaków, którzy wyrządzają Krakowowi i sobie straszną krzywdę. Odkąd przestały istnieć „kordony“, zaczęła się tłumna emigracja do Warszawy. Blichtr wielkomiejskiego życia, nadzieja szybkich karjer, bliskość (proszę mi wybaczyć) Dworu (boć pomimo naszych demokratycznych haseł jesteśmy urodzonymi dworakami), wszystko to wpłynęło na opuszczenie „Stoł. Król. miasta Krakowa“ i uznanie go za „prowincjonalną dziurę“, w której „nic się nie dzieje“ i którą (co gorsza) należy poniżyć gwoli wywyższenia stolicy. Ona musi mieć pierwszy uniwersytet, pierwszą Akademję Umiejętności, pierwszą Akademję Sztuk Pięknych, pierwsze Muzeum Narodowe, pierwsze „a“ i „z“ jak Paryż, Lon...

Za pozwoleniem.

W Stanach Zjednoczonych Rząd nie rezyduje w Nowym Yorku. W Anglji istnieje Oxford. Galerja Ufizzi jest we Florencji a La Scala w Medjolanie. W Niemczech oprócz Berlina jest jeszcze Monachjum, Drezno, Lipsk, Heidelberg... Wogóle stolice nie są wszystkożerne. Niechby Berlin poklepał po ramieniu Norymbergę albo Rzym Ravennę! Widzielibyśmy jaki gwałt podniósłby się od wschodu do zachodu i od północy do południa. Bo każdy naród o starej kulturze szczyci się tem, że jest wszechobecna, że nie trzeba jej szukać daleko i że nie „genjusz stołeczny“, ale „genjusz narodowy“ stworzył ją na chwałę swoją i ludzkości.

U nas inaczej.

„W Krakowie żyć nie można! Trupiarnia!“ — słyszy się na każdym kroku. Ejże! Gdyby tak sprawę postawić na ostrzu miecza, to nie wiem, czy Kraków nie pobiłby Warszawy, jeżeli chodzi o korzystne warunki dla twórczej pracy w wielkim stylu. Warszawa wydaje mi się niebezpieczna, bo jest albo za mała, albo za wielka. Za mała, gdyż jej „stołeczność“ wciska się w najbardziej zapadłe kąty — za wielka gdyż wymaga świadczeń... małomiejskich. W Warszawie nie można być naprawdę u siebie a nie da się być wszędzie. Mały (więc okropnie męczący) Paryż. I dlatego też nigdzie nie można być tak zmielonym na nulkę jak w tym „syrenim grodzie“.

A Kraków?

Bądźcobądź wydał nielada malarzy... Żył w nim Matejko, Malczewski, Stanisławski... żyje w nim dotąd spora paczka nie byle jakich mistrzów pędzla i dłóta... żył w nim Wyspiański... żyją w nim uczeni, z którymi liczy się cały świat... Obsłużyć wszystkich bardzo łatwo... zamknąć na cztery spusty jeszcze łatwiej... Potrzeba komu silnych wstrząsów? Wystarczy rzucić okiem na „dom pod kominami“, który wytrzeszcza wyłupiaste okna i straszy Sukiennice... Potrzeba komu „powrotu do natury“? Wystarczy dziesięć minut tramwajem...

Więc gdyty tak polscy parnasiści społem, gromadą zechcieli spowrotem do „żywych murów“, to nawet „zielonych baloników“ mogliby mieć poddostatkiem i „Dni Krakowa“ zamieniłyby się w lata wspaniałej pracy w polskich... naprawdę Atenach.

—ooo—

ANTONI WASKOWSKI.

Cichy, Polski Rzymie...

Miasto moje rodzinne, święty, polski Rzymie
bijący antyfoną królewskich kościołów
od serc naszych otwartych do niebios przyczołów.
w mgle wiślanej spowity, jak w kadzielnym dymie...

Oto wielbię pacierzem co dnia twoje imię,
iżem brał pokarm ducha u twych Pańskich Stołów...
kolebko snów płomiennych, skarbnico popiołów,
relikwio całowana przez usta pielgrzymie!...

Wieczność tobie znaczona pod strażą aniołów,
więc niech będzie na wieki wielbione twe imie
i żywot, co się rodzi ze twoich popiołów...

I niech co dnia na klęczkach te rzesze pielgrzymie
przyjmują pokarm ducha u twych Pańskich Stołów.
o nieśmiertelny, cichy, święty, polski Rzymie!...

DR. KAZIMIERA KUTRZEBIANKA.

„Z polskiego Spisza“.

Kościół w Łapszach Wyżnych.

Ziemia spiska zniszczona przez najazdy tatarskie w latach 1241 i 1285, była kilkakrotnie kolonizowana. Najsilniej kolonizacja rozwija się tu w XIII i XIV w., — wielkie zasługi na tem polu położyła magnacka rodzina węgierska Berzeviczych, która osiedliła się na Spiszu w XIII w. Ród ten zajmuje nas również i z tego względu, że wszystkie kościoły w tych stronach pochodzą z fundacji tej właśnie rodziny.

Kościoły spiskie fundowane przez Berzeviczych przedstawiają się w stosunku do naszych wiejskich kościółków niezwykle okazale. Wiele z nich zbudowano w epoce gotyku z kamienia i cegły. Rozmiary jak na wiejskie kościoły posiadają bardzo znaczne, — wszystkie są 1-nawowe, w wielu z nich dochowały się późnogotyckie portale kamienne i pierwotne okna gotyckie. W epoce baroku i rokoka kościoły te uległy przebudowie i otrzymały beczkowe sklepienia. Z tego przeważnie czasu pochodzą również niezwykle bogate i stylowo jednolite urządzenia wewnętrzne, a zwłaszcza wspaniałe ołtarze. W zdumienie wprawią każdego przybysza i turystę, nietylko piękne, w artystyczne zabytki sztuki wyposażone wnętrza kościołów spiskich, ale także bogate skarbce, zawierające liczne barokowe i rokokowe kielichy i inne sprzęty kościelne, zwłaszcza gotyckie monstrancje. których tu jest sporo. — wystarczy wymienić: Niedzicę. Trybsz. Łapsze-Niżne, Łapsze-Wyżne, Krempachy. Frydman i inne.

KOŚCIÓŁ W ŁAPSZACH.

Kościół w Łapszach-Wyżnych (względnie według niektórych pisarzy Łapsach, lub Łapsiach), — ma wezwanie ś. Piotra i Pawła, jest 1-nawowy, murowany, tynkowany zewnątrz i wewnątrz bielony. Układ trójdziałowy, prezbiterjum zakończone półkolistą absydą. Od zachodu na osi budowy czworoboczna wieża złączona z korpusem kościoła. Od północy zakrystja. Kościół jest opięty szkarpami, dwu-uskokowemi. Dach, — jak prawie wszędzie na Spiszu na murowanych kościołach — gontowy, co wygląda bardzo korzystnie. Natomiast zgrabną, 8-boczną sygnaturkę szpeci hełm kryty blachą cynkową, — również wieża ma hełm baniasty blachą kryty, a co gorsza, cała jest od strony zachodniej od góry aż do dołu obita blachą cynkową, nad wejściem zaś znajduje się daszek również blachą kryty. Być może, że takie obicie wieży blachą przez całą jej wysokość i szerokość bardzo jest praktyczne, jeśli chodzi o ochronę ścian przed wilgocią i deszczem, — jednakże ze względów estetycznych jest to pomysł rażący, szpecący całą wieżę, która i tak niekorzystne sprawia wrażenie, gdyż nie posiada dobrych proporcyj. (Drugim czynnikiem wpływającym niekorzystnie na zewnętrzny wygląd kościoła w Łapszach-Wyżnych, są nowoczesne rynny z blachy cynkowej). Na dachu prezbiterjum zatknięty jest podwójny krzyż żelazny. Krzyże takie bardzo często spotykamy na Spiszu, — wprowadzili je tamże zakonnicy reguły św. Augustyna Miechowici, czyli Bożogrobcy. Kościół, przebudowano w XVIII w., z tego czasu pochodzi sklepienie beczkowe z gurtami, które w nawie ozdobione są stiukami o charakterze XVIII w.

URZĄDZENIE WEWNĘTRZNE.

Ten, kto nie zna charakteru wnętrz kościołów spiskich, — zdumiony będzie wspaniałością wewnętrznego urządzenia kościoła w Łapszach-Wyżnych. Zdumienie to będzie tem więcej uzasadnione, że architektura kościoła nie odznaczająca się niczem szczególniejszem, nie pozostaje w żadnym stosunku do jego pięknego i bogatego wyposażenia. Pochodzi ono z okresu przebudowy kościoła i jest jednolicie utrzymane w stylu rokoka.

Prześliczny jest ołtarz wielki, wykonany z drzewa, wysmukły, szeroko rozłożony o przepięknych proporcjach, — tworzy on zwartą doskonale pod względem architektonicznym i dekoracyjnym przemyślaną całość. Retabulum ołtarzowe jest tak rozległe i wysokie, że zajmuje całą wschodnią ścianę prezbiterjum. Jest ono w całości złocone i ozdobione posągami świętych. Wszystkie rzeźby są udatne, a niektóre z nich. — traktowane z pewnem zacięciem rodzajowem, — wprost świetne, — świadczą one dodatnio o uzdolnieniu i sprawności technicznej snycerza, który je wykonał. To samo piętno artyzmu posiada prześliczna dekoracja rokokowa, która niby zwoje misternych złotych koronek spowija cały ołtarz wraz z tabernakulum. Dodać trzeba, że złocenia mają przepyszny przez czas spatynowany odcień „starego złota“. U szczytu ołtarza wpleciona jest w dekorację rokokową piękna, delikatnie wykonana rzeźba wyobrażająca „Koronację Matki Boskiej“.

Te same zalety, co ołtarz wielki, wykazują bogato rzeźbione i złocone ołtarze boczne, ozdobione w częściach środkowych pięknemi płaskorzeźbami. Płaskorzeźba w ołtarzu na lewo przedstawia pełną wdzięku Madonnę z Dzieciątkiem, — płaskorzeźba zaś w ołtarzu po prawej stronie wyobraża ś. Mikołaja. W tym samym stylu, co ołtarze, utrzymana jest ambona, cała ażurowa ze wspaniałym baldachimem i piękną balustradą przy schodach. Po lewej stronie w prezbiterjum zwraca uwagę rokokowy tron biskupi, oraz starożytny baldachim, używany podczas procesyj.

Z innych przedmiotów wymienić jeszcze należy śliczne rokokowe lichtarze na bocznych ołtarzach, oraz drewnianą chrzcielnicę ozdobioną grubą i trochę niezręczną rzeźbą, wyobrażającą scenę Chrztu Chrystusa Pana. Nie brak również starych feretronów w rokokowych złoconych ramach. Jak z tego krótkiego przeglądu widać, wszystkie przedmioty pochodzą z jednego czasu i wykonane są w jednym stylu, — a co ważniejsze wszystkie (prócz chrzcielnicy) świadczą nie o jakimś prowincjonalnym rzeźbiarzu, lecz o utalentowanym i wytwornym snycerzu, który posiadał duże poczucie piękna i zrozumienie charakteru stylu rokoka.

Gdy się ogląda wnętrze kościoła w Łapszach-Wyżnych w oświetleniu zachodzącego słońca, wówczas odnosi się wrażenie, że ta piękna dekoracja rokokowa, o starych przez czas przytłumionych złoceniach, nie jest wykonana z drzewa, lecz z miękkiej, złotej, koronki, w której zwojach toną ołtarze, ambona i inne sprzęty. Istotnie chwilami wierzyć się nie chce, że się jest na zapadłej wsi spiskiej, a nie w jakiemś znaczniejszem środowisku sztuki.

W zakrystji kościoła znajduje się monstrancja gotycka, srebrna, pozłacana i ornat z XVIII w. (z materji zielonej w rokokowe „rzeki“ i bukieciki róż). w środkowej kolumnie t. zw. „haft polski“ na srebrnym tle. kolory spatynowane, całość miła i delikatna.

Wspomnieć jeszcze należy, że przy kościele od strony północnej rosną 3 olbrzymie lipy, z których najstarszą ma przeszło 5 m. obwodu.

—*—

Z korespondencji Cyprjana Norwida.

Listy do A. i Wł. Czartoryskich.

podał STANISŁAW PIGOŃ.

Listy Norwida, poniżej ogłoszone drukiem, skierowane były do Czartoryskich, do ojca Adama, i do syna, Władysława. Choćbyśmy do nich dołączyli dwa czy trzy poprzednio ogłoszone, to i tak uderzyć nas musi, że ich tak mało; nie wydaje się zaś, żeby wiele z tej korespondencji zaginęło.

Uderza to z tego najpierw względu, że Norwid, choć utrzymywał osobiste stosunki z niektórymi przedstawicielami lewicy emigracyjnej (jen. Mierosławski), to przecież kulturą towarzyską, przekonaniami politycznemi, wyznawstwem religijnem ciążył zupełnie zdecydowanie ku obozowi zachowawczemu, którego głową był dom Czartoryskich. Z tego tytułu miał ich w wysokiem poważaniu, a sędziwego księcia Adama, „męża konsularnego", nawet we czci.

Uderzać wreszcie musi owa szczupłość korespondencji ze względu choćby poziomego, życiowego. Hotel Lambert, poza polityczną, prowadził także szeroką akcję dobroczynną, pomagał zasiłkami, pożyczkami, wstawiennictwem wreszcie, emigrantom pomocy potrzebującym. A Norwid, co przez większą część życia przesuwał się wąską miedzą między biedą a nędzą, — bywało często — pomocy podobnej potrzebował najgwałtowniej.

A jednak — widzimy — do Hotelu Lambert po nią nie pukał; jeśli zaś już i zapukał, to dopiero w położeniu wyjątkowem, a zawsze z zachowaniem wszelkich ogródek delikatności, powściągliwie i z pełnem poczuciem i poszanowaniem godności osobistej.

„To nie ja — pisze w jednym z listów — to nie ja przychodzę prosić Księcia o trochę kredytu — to **pisarz polski,** który prawo do tego kredytu sobie wysłużył". W innym liście nie chce powściągnąć dyskretnej wymówki, że książę Adam nie raczył jeszcze przestąpić jego progów, nie oddał mu wizyty.

Ta honorna powściągliwość poety wobec możnych tego świata, szlachetna ambicja, by się nie narazić na drobne choćby upokorzenie, ta jego — gotów kto powiedzieć — nadmiernie przeczulona drażliwość na tym punkcie, to jedna z charakterystycznych cech Norwida.

Natomiast niejednokrotnie nie waha on się użyć swych najwyższych znajomości, owszem, potrafi być wobec nich natarczywym, przypominać obowiązki, gdy chodzi o wstawiennictwo za kimś spośród zasłużonych a potrzebujących, i to choćby mu przekonaniami nie całkiem byli mili.

Około tych dwu spraw głównie skupiają się materje listów poety, poniżej ogłoszonych; oscylują między wielkodusznością w sprawach cudzych a powściągliwą (i drażliwą) nieśmiałością we własnych potrzebach. Pozatem mówią one coś niecoś i o jego życiu wewnętrznem i o działalności literackiej.

Autografy ich wszystkich zachowały się w archiwum domowem Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie.

Listy do księcia Adama Czartoryskiego.

1. 2 czerwca 1850.

Mości Książę!

Oddawca tego listu obarczony jest wszystkiemi prawie pozorami, które na niekorzyść jego mówić mogą: Wyszedł z Rzymu w legji Mickiewicza, której Książę nie lubisz, bo z swej strony lichej i fałszywej Księciu dała się poznać; przed szturmem do Rzymu przybył tutaj, podał się o amnestję, ma powracać do Polski, — teraz oczekuje na odpowiedź Feldmarszałka z Warszawy. Że był protegowanym przez rząd moskiewski w Petersburgu, w Warszawie, a potem nawet zagranicą, jako jeden z rzadko ukształconych architektów, więc jest podobieństwo, że i pasport i przyznaną pensję mu powrócą, idzie tylko o to, aby biedę aż do otrzymania odpowiedzi ostatecznej wytrzymał.

Celem tego i on i inni różni, co było można, to zrobili i wiem to bardzo blisko, że sumiennie starali się oszczędzić Księciu tego kłopotu, który Mu dziś nastręczam przez oddawcę. Niech Książę raczy z nim pomówić. Sądzę, że po odebraniu odpowiedzi niepomyślnej do Ameryki wraz podąży, gdzie przy umiejętności posiadanej znajdzie pole pracy i korzyści. Dziś jednakże z rządem już moskiewskim wedle polecenia ambasady gdy rozpoczął traktować, słuszna jest, aby dotrwał, aż odpowiedź stanowczą pod tym względem odbierze. Idzie więc może o kilkanaście obiadów i noclegów, jeśli już mam zstąpić do określeń lakonicznych i jasno postawionych.

Gdyby nie ta odległość Hotelu Lambert, której trudno pogodzić z zatrudnieniem, nie omieszkałbym Księciu osobiście to, co piszę, przedstawić, zwłaszcza że już dość dawno nie miałem przyjemności Księcia spotkać, a też progów moich nie raczyłeś Książę dotąd przestąpić.

Smutno mi jest dla biednych naszych, dla umysłu publicznego w Polsce i dla szlachetnych chęci X. Władysława, że możność ulżenia człowiekowi kładą — widzę — na wagę z tym elementarnym liberalizmem, który nie jest jeszcze myślą do tyla, ażeby już mogła czy powołać, ale jest już czemsiś nakształt myśli, co paraliżować może czynność. Za czasów Kościuszki nie było jeszcze parostatków, a przecież mógł wrócić z Ameryki i chwała Bogu wrócił na czas! Biada zwyciężonym! — bo już siebie zwyciężać nie umieją; niewola sączy jad, niestety! Mówię to, cobym mówił Księciu Władysławowi, gdybym osobiście był w Hotelu Lambert, albo gdybyś Książę u mnie był, albo gdybym w Poznaniu był w tej chwili.

Że zaś list z interesem, więc powracam do rzeczy, to jest polecam Księciu oddawcę-architekta z zaufaniem, że wedle możności Książę raczysz ułatwić mu przystęp do pomocy stosownie do tego, co za słuszne i możebne Książę na dziś uznasz.

Łączę wyraz szacunku i poważania — najniższy sługa C. K. Norwid.

U w a g a w y d a w c y: Potrzebującym pomocy był, jak wolno wnosić, J. M. Orłowski (ur. 1825). Między pierwszymi legjonistami Mickiewicza on jeden był studentem architektury, a bawił w Rzymie jako stypendysta. Wiemy skądinąd, że książę mu pomocy nie odmówił; Orłowski wrócił do Warszawy. Książę Wład. Czartoryski zajmował się podówczas z ramienia ojca organizacją pomocy dla napływających na emigrację rozbitków legjonu węgierskiego i włoskiego.

2. Paryż, d. 7 kwietnia 1860.

Mości Książę!

Dowiaduję się, iż przyjaciele moi dali znać do Hotelu Lambert o dniu, godzinie i przedmiocie publicznego głosu mojego.

Majestat wieku i powaga osoby Księcia Jegomości każe mi z mojej strony uprzedzić Go, iż nie byłem panem wyboru miejsca i że schody mogą być niepiękne i niewygodne, a sala swoją zewnętrznością zapewne mało odpowiadająca powadze Mężów Konsularnych.

Niechże w takim razie niniejsze kilka słów pospiesznie kreślonych usprawiedliwi mię.

Z głębokiem poważaniem

Cyprjan Norwid.

1860, W. Sobota.
Rue du Bellefond 38.

U w a g a w y d a w c y: Do listu dołączono zawiadomienie, że poczynając od soboty dnia 7-go kwietnia odbywać się będą prelekcje C. Norwida „O dziełach i stanowisku J. Słowackiego w sprawie narodowej", o g. 7½ wieczór w Passage du Commerce 25 na drugiem piętrze. — Prelekcje te utworzyły wydaną niebawem książeczkę o „Juljuszu Słowackim".

Listy do Księcia Władysława Czartoryskiego.

1. Paryż, 20 września 1870.

Mości Książę!

W przedmiotach dwóch powinienbym mieć zaszczyt mówienia z Księciem. Pierwszy ważniejszym jest, bo może mieć ogólną wartość, ale drugi przez zbliżenie warunków szybko lecącego czasu staje się nieodzowniejszym. Aby nie mięszać tegoż z listem, na osobnej kreślę karcie i tu załączam. Mówić wszelako z W. Ks. Mością powinienbym.

Zostaję z głębokiem poważaniem prawdziwy sługa

Cyprjan Norwid.

1870, 20 Septembra
rue Lallier (près Martyrs)
Paris.

T r e ś ć:

Kiedy byłem u Księcia Wł. Czartoryskiego, nikt nie myślił o wojnie, każdy o wyjeździe do wód; a cesarz Napoleon III w silo jaśniał. Wyszedłszy od Księcia Wł. Czartoryskiego, napisałem Bronisławowi Zaleskiemu, aby powiedział odemnie Księciu Czartoryskiemu, — w jaki sposób Cesarz ustąpi ze stolicy, co nadejdzie potem i o ile Republika się wznowi.

Uczyniłem to dlatego, że mówiłem z Księciem o wykładzie mojej Filozofji historji polskiej; chciałem przeto dać dowód, iż — wykład mający mieć nie próżne rzecze słowa.

Na to wszystko czas nie pozwolił!...

*

Teraz — dziś właśnie skutkiem tak szybko bieżącego czasu kreślę tu obraz interesu (jak nazywają ludzie) osobistego, ale który osobistym stawa się z ogólnych przyczyn, i przepraszam, że się tak wyrażę, ale poruczam ten interes, lubo mój osobisty, poruczam sercu i rozsądkowi Księcia, a przepraszam, że takie daję szczególne określenie.

Interes mój jest taki:

Onegdaj, dlatego żę notowałem coś w karnecie, byłem aresztowany, wleczony przez ulicę „comme espion Prussien". Często silna głuchota moja, której właśnie we więzieniu stanu w Prusach nabyłem zarodu, a która z wiekiem powiększa się, — czyniła, iż do wociferującej tłuszczy ulicznej, i żołnierstwa, i policji, rychło i stanowczo mówić nie mogłem. Po długich gwałtach wróciłem do siebie, a za całą satysfakcję powiedziano mi, que le général Trochu, et le préfet de police ont été également arretés et qu' ils félicitent la zèle des novices etc... Prawie tak samo Neron uczył psy i wprawiał zwierzęta, szczując chrześcijan... Jamais aucune injustice n'a foit du bien à aucune cause.

Otóż — co do mnie, pochodzą takie rzeczy z tej przyczyny, iż ponieważ nigdy a nigdy żadnych subsydjów od Francji nie brałem, ani czepiałem się możnych, ani robiłem sobie dekoracji i stopni, ale żyłem z pracy mojej i dla moich prac umysłowych i w odosobnieniu, — przeto naturalnie skazany bywam żyć w sferze ubogiej, która też naturalnie iż sprzeczność widzi i nie pojmuje, que ce que c' est que le déclassement.

Zważywszy przytem głuchotę moją, — chciałem i chcę za pierwszą sposobnością wyjechać.

Napisałem do p. K. Branickiego (którego lat około 30 znam), aby mi na tę parę miesięcy dał gościnność w Montrésor, — ale on podobno chory i w Anglji siedzi. Nic nie wiem.

Sam — że tylko z prac żyję, a te ustały, mogę literalnie nie mieć kawałka chleba. Cette probabilité est parfaite et je pui en outre être en butte du mauvais traitement. Il est naturel que je ne metterais pas la croix rouge sur mon chapeau, pour que le signe du Rédempteur me procura l' aisance de mes mouvements personnels!...

Mam u księgarzy polskich około 900 fr. i mam sprzedany obraz w Krakowie, ale księgarze nie chcą przyspieszyć teraz wypłat, a z Krakowa lenistwo polskie okrywa zwłokę korespondencji stanem wojny, która nic ich boli.

Śród tak zbiegłych razem ciężarów dużo czynię doprawdy, jeśli przytomność mam tyle i tak kreślić.

*

Proszę, ażeby Książę wziął to na uwagę i chciał skutecznie mi dopomóc do wyjechania z Paryża, — gdziekolwiek bądź, — wyjednywując mi listem swym zamianę pasportu starego, jaki posiadam, na pasport dziś wymagalny; tudzież, jeżeli to jest możliwe Księciu, aby mi raczył albo to podać, o co do K. Branickiego krok zrobiłem, albo chciał mię sam na ten czas użyć w misji jakiej, aż przejdzie ta burza i mnie wrócą prace moje i księgarskie pieniądze.

Ufam, że Książę raczy to rozejrzeć, aby, ile uda się, zgodzić możliwość środków ze surowością naglącego czasu.

1870. C. N.

U w a g a w y d a w c y: Żeby należycie zrozumieć treść listu, należy pamiętać, że pisany był w najgoretszych dniach ewakuacji Paryża, w chwili, kiedy pruskie wojska oblężnicze stały już u jego bram. Norwid, pozbawiony środków do życia, chciał uniknąć uciążliwości oblężenia. Kiedy go zawiodła pomoc, hojnego dla emigracji, magnata i bogacza hr. Ksawerego Branickiego, zwrócił się o nią do Czartoryskiego. Chodziło mu o uzyskanie nie zasiłku, ale pracy takiej, któraby mu pozwoliła wyjechać. Jednakowoż i te zabiegi — jak się zdaje — nie osiągnęły skutku. Norwid przetrwał pięciomiesięczne oblężenie i późniejsze rozruchy komunistyczne w Paryżu. Od okropności czasu uciekał — pracując nad ilustracjami do Bogarodzicy. Niewiele co później pisał do Zaleskiego:. . . „ja tu jestem po dwóch wojnach, dwóch oblężeniach, głodzie, morze i komunizmie . . ." (Krechowiecki, „C. Norwid", II 249).

AGNIESZKA WAG.

Z legend Krakowa.

Wieniec świętej Hildegardy.

Wolno, uroczyście kroczyła przez wąski, sklepiony korytarz, abbatisa nowego zakonu, siostra Ekberta. Ukazywała się i znikała, to w blasku plam słonecznych wsączających się przez wycięcia okien, to w mroku wilgotnych murów pogrążona.

Przez uchylone okiennice dolatywał przelewający się w ciszy szum Wisły i śpiew wilg pochowanych wśród zieleni młodego sadu. Miejsce było nad wyraz piękne, lecz nie zdołało zatrzymać siostry Ekberty. Cóż mogłaby zobaczyć, nawet stanąwszy u okna? Wszystko obce i niechęć budzące, wrogie i niewłasne, nigdy, przenigdy nie nazwane ojczyzną, jak i te dziewczęta, z trudem rozumiejące jej mowę, nie staną się jej siostrami w zakonie, w którym jej żyć wypadło. Ot, stare drzewo, dorodne nawet i bujne, nie do przesadzenia wszakże. Ni owocu z niego, ni cienia nawet. Uschnie i spalone będzie.

Nieraz tak myślała Ekberta, krzyżem świętym wraz płosząc pokusę buntu przeciw klasztornemu posłuszeństwu, które ją w obcą ziemię zagnało. Lecz tego ranka nie w głowie jej były gorzkie myśli. W obu rękach piastowała troskliwie wielką relikwię z rodzinnego miasta przysłaną, przedmiot święty, łączący mocą cudu ziemię z niebem i słodką nadzieją wypełnienia rajskich obietnic, serce zakonnicy napełniający.

Był to wieniec, dziwny, misterny uplot kwiatów uschłych, zwiędłych, ale żyjący jakby islnieniem rajskiem dusz zbawionych. Kwiaty nieznane, o niewyraźnych kształtach, kunsztownie splecione, wyblakłe, suche gałązki rozmarynu, tuliły się do rąk opatki, równie zwiędłych i wyżółkłych jak one, syciły przypomnieniem młodości i rozkwitu oczy, zapatrzone w nie miłośnie, z nie świadomym siebie uśmiechem.

Był zwyczaj, pilnie od lat kilku dziesiątków w klasztorze strzeżony, iż młodą nowicjuszkę w dniu jej ślubowin, wieńczono koroną z kwiatów, która niegdyś należała do świątobliwej mniszki Hildegardy. Teraz ów wian cudowny z Moguncji, macierzy zakonu, przysłano ksieni Ekbercie na bliskie oblóczyny czterech młodziutkich dziewczek.

Radowała się stara opatka, piastując w rękach ów widomy znak łaski bożej, która kruche kwiecie przez lat pięćdziesiąt zgórą od zniszczenia uchroniła jakoż dopiero umocnią się w wierze zakonniczki młode. Czyż nie pozazdrości każda chwały oblubienicy bożej, której czoło teraz aniołowie zdobią codzień w świeże kwiaty, i w ślady świętej nie wejdzie? O, bo potrzebowała ksieni pomocy i utwierdzenia takiego. Toż w chórze oczu z tych dzieweczek, obce sobie, łacińskie słowa trzepiących, spuścić nie może. Zaraz ta i owa w modlitwie się zaplącze i ku oknu zerkać pocznie.

Nagle ksieni stanęła: z poza załomu muru, z miejsca, gdzie znajdowało się więzionko klasztorne, dosłyszała szepty stłumione, lecz wyraźne. Rozmowy, gdy przed ranną Mszą ni słowa mniszkom zamienić nie było wolno i tylko co na silentium przedzwoniono!

Zacisnęła usta opatka i ostrożnie przysunęła się bliżej, by winowajczynie wszystkie wychwytać.

Zbite w ciasną gromadkę, stały przed wąskiem, zakratowanem okienkiem kaźni cztery postulantki, usiłując zaglądnąć do środka. Przypomniało się ksieni, iż tam właśnie osadzono schwytaną pod wieczór na Zwierzyńcu czarownicę. Na jedną noc, nie dłużej, zgodziła się cierpieć pani Ekberta obecność nieczystej baby, pod jednym dachem z dziewicami poświęconemi Bogu. I tak, ledwo uprosić ją zdołali pachołcy grodzcy, by w lochu utwierdzonym zwoliła wiedźmę zatrzymać, gdy dla bram zamkniętych i spóźnionej pory nie mogli jej w miasto wprowadzić. Obawy jej okazały się słuszne; na świętego Norberta, więc wystarczyła jedna kobieta, bożki pogańskie i szatana wyznawająca, by obalić jej surowy zakaz, za którym stało posłuszeństwo klasztorne i wola Jezusa Chrystusa?

Z grzeszną ciekawością, z lękiem, lecz tak, jak się patrzy na coś dobrze znanego, spoglądają na czarownicę owe adeptki młode, które za dostatecznie w wierze i regule klasztornej utwierdzone miała.

Ksieni Ekberta przesuwa się pod ścianą ostrożnie, na palcach. Kwiaty woskowo żółte, kłonią ku jej rękom korony zerwane w pełni rozkwitu. Już i szept słyszy wyraźnie:

— Ale ci mnie zobzierała — mówi jedna.

— Oczyska też to ma. Świecie, świecie!

— Wiadomo, niesamowita!

— Chodźcież, chodźcież! — naglila trzecia, snać najmniej śmiała — zuroczy nas, albo kto nadejdzie!

Nie słuchały mniszeczki, rękami u krat zaczepione, stopki usiłowały zaprzeć o nierówność muru, wlepiały przed się oczy nienapatrzone, jeszcze i jeszcze.

Wreszcie oderwał je dźwięk dzwonu na modlitwy zwołującego. Porwały się z szumem i z klekotem zawieszonych u pasa różańców do biegu tak chyżego, że nie dostrzegły nawet zatajonej w kątku opatki. Przy końcu krużganku zwolniły przecież i znowu o uszy pani Ekberty obiła się bezbożna rozmowa.

— Aż ci mnie zamgliło, rety, rety!

— Bladaś. Naisto! Zaczekajże, wraz ci popuści! — i wychylona z ukrycia ksieni, przerażonemi oczyma dojrzała jak jedna z młódek ugiąwszy habitu, na drobne strzępki róg lnianego giezleczka rwać zaczęła.

Strapiona wielce, zawarła się w swej celi stara ksieni. Wian świętej Hildegardy

Rozrywki umysłowe Nr. 11.

Pod kier. inż. K. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Przystępujemy w numerze dzisiejszym do II Konkursu, który obejmie 20 zadań i zakończony zostanie w ciągu bieżącego miesiąca. Za rozwiązanie zadań tych Redakcja przeznacza 3 nagrody, a mianowicie: I. Nagroda główna za bezbłędne rozwiązanie wszystkich zadań, 2. Nagroda druga za rozwiązanie kilku zadań, również bez błędu, oraz 3 Nagroda pocieszenia dla tych, którzy nie uzyskali dwóch poprzednich nagród. Pozatem, dla autora, który uzyska największą ilość głosów czytelników, kierowniczka przeznacza **nagrodę autorską**, książkową. Termin nadesłania rozwiązań wszystkich zadań niniejszego konkursu upływa dn. 15 lipca r. b. Można dla oszczędności porta nadesłać wszystkie rozwiązania razem. Słowa pomocnicze nie są konieczne. Rozwiązania nadsyłać należy z odnośnymi kuponami pod adresem Redakcji.

—*—

DRUGI KONKURS ZADANIOWY.

I. SZARADA AKTUALNA.

J. Modrzejewski — Lublin, czł. Kl. Szar.

O Grodzie Podwawelski. Początki Twe zmrokiem
legendy są okryte, chociaż się tym brakiem
nikt nie zraża, jak ongi walki z groźnym smokiem
nie uląkł się bohater, zwany dziwnie — Krakiem.

Gdzie dawniej **dwa-dziewiąte** owiec się pasały
i gdzie do **pięć-siódmego** wiklina wkrąg rosła,
powstawał gród potężny, obronny, wspaniały,
i strzegła go wszak Góra Wawelska wyniosła.

Zaś wdole **siódma-ósma** polskich rzek królowa
raz-jedenaste-szóste, wywodząc swe żale,
jak to królewna Wanda nie chciała dać słowa
natrętnemu Niemcowi i skoczyła w fale...

Dalej kościół na Skałce — o męczeńskiej śmierci
Świętego Stanisława i królu złym, pustym,
opowiada, — co posiekł Biskupa na ćwierci,
iż palec znaleziono w bliskim **drugim-szóstym**...

Wspomnień tłumy z każdego wyzierają kąta
i z murów w **siódmym-trzecim** tkwiących wieków pyle
Niejedna smutna przeszła **dziewiąta-dziesiąta**,
choć były także sławy i zwycięstwa chwile.

Pierwsze-piąte się pięknem zabytków napawa,
a w **cztery-pięć-dwunastym** jest ich bardzo wiele...
Ustąpić musi miejsca stołeczna Warszawa
i inne polskie miasta — rzec to można śmiele.

Do Rynku po trzy z boków prowadzą ulice,
druga-ósma zaś w środku widnieje budowa:
to z czasów Kazimierza słynne Sukiennice,
wśród **wspak czwartych-wspak dziewięć** rząd się sklepów ...

Zewsząd widnieją świątyń wysmukłe kontury,
W **jedenastej-dwa-szóstej** swej czcząc kornie Boga,
koło Bramy Florjańskiej zaś — nieco ponury —
stoi dumnie Barbakan — w śladach ran od wroga...

Wawelski Zamek w świetne Zygmuntowskie czasy
zdobiła pono **siódma-dziesiąta** bogata:
pełne przepychu sale, freski i arrasy,
budziły wielki podziw ówczesnego świata.

W kaplicy, gdzie się kiedyś cuda sztuki kryły,
w krypcie, gdzie **czwarta-dziesięć** do podziemi wiedzie
dzisiaj się mieszczą jeno Królewskie mogiły
i tych, co Naród wiedli do sławy na przedzie.

Jedenasta i ósma już zmierzać do końca,
przestać snuć barwne nici ze wspomnień kobierca...
Trwaj więc, Stary Krakowie, w złotych blaskach słońca
przez wieki jeszcze długie i krzep Polski serca.

KUPON NR. 11.
ważny do dnia 15-go VII b. r.

II. SZARADA.

„John Ly", czł. Kl. Szar.

Czy Dzień Dzisiejszy taki smutny, czy co,
że tak pociąga nas oddal dziejowa?
Że nas w Przeszłości **dwa-trzy** spojrzeć lico,
choćby wtulone w mgieł baśniowy woal?

Gdy teraźniejszość nam się **pięć** we znaki,
sięgamy chętnie i myślą i sercem
do **wspak raz-trzeciej** pamiątek w dzień taki,
gdyśmy i z sobą i z ludźmi w rozterce...

Niejedna postać w Przeszłości niezwykła
i czyn niejeden wielki i wspaniały
winien **pięć-czwarty** by nam dziś na przykład,
by nowe życie groby zapładniały...

Jak od **wspak czwartych** prastarych kościelnych,
tak i od mogił, w których legli Cali,
tchnie ku nam ludzki Król-Duch nieśmiertelny
tych, co w ofiarnym czynie się spalali...

III. ŁAMIGŁÓWKA.

„Sum-bra" — Kraków.

1.	2.	3.	4.	5.	6.	7.	8.	9.	10.	11.	12.	13.	14.	15.	16.	17.	18.

W podaną figurę należy wpisać wyrazy 6-o literowe, których **pierwsze i czwarte** litery czytane poziomo dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Ojciec bogów, 2. ruch mimowolny, 3. ozdobna przepaska na głowę, 4. wiązanie (w budown.), 5. postać znana z baśni 1001 nocy, 6. pieniądz, stopa mennicza, 7. wzruszenie, 8. zdzierstwo, wyzysk, 9. miasto w Rosji nad Wołgą, 10. część ubioru męskiego, 11. znana miejscowość z bitwy w 1831 r., 12. dzielnica Konstantynopola, 13. żołnierz poborowy, 14. miejscowość kąpielowa n. Bałtykiem, 15. goguś, laluś, 16. ferment, 17. szpic, szczyt, wielka igła, 18. miłośnik piękna.

IV. SZARADY — ABECADŁO.

„Dziadek z Bakszty", czł. Kl. Szar.

I.

Dwa każda **raz-trzecia** jest **trzecia-trzecia**,
dwa każdą niewiastę intryga krecia
pociąga i plotka.
Raz gdyby języki czyjeś przydługie
zaprzeczyć mi chciały, to **trzecie-drugie**
w szaradzie ich spotka.

II.

Że **trzy-raz-pierwszy** wszystko leczy
wie **pierwszy wspak** i pan;
w postaci proszku on i cieczy
na pokrzepienie dan.
Waży **dwa-druga trzecia-druga**
na dolegliwości lek,
z apteki również jego struga
płynie, by zdrów był człek.

III.

Czwór **wspak-czwór-drugie** tego świata
o **Trzecim-pierwszym** mówią tak:
on **trzecie-drugie** cudnie splata,
tworząc własnego stylu smak.
Zato **raz-czwarta** jego płótna
mało dostępna dla nas jest.
Jakaż to przykra rzecz i smutna,
nie móc powiedzieć: mam szczodry gest.

„Stary Kraków".

Polski Związek Turystyczny w Krakowie zainaugurował nowy okres swej działalności wydaniem wspaniałego dzieła propagandowego w postaci starannie opracowanego albumu pamiątek i zabytków krakowskich. Na dzieło to składa się 48 tablic z doskonalemi, fotograficznemi zdjęciami najcenniejszych i najbardziej charakterystycznych dla Krakowa zabytków i dzieł sztuki. Mury miasta, które są zarazem żywemi kartami historji narodu znalazły w tej pracy pełne wymowy ujęcie dzięki wysokiej technice wykonawców, umiłowaniu i znawstwu przedmiotu ze strony autora dra Jerzego Dobrzyckiego oraz wytwornej szacie zewnętrznej, jaką dziełu temu dał wydawca. Dr. Dobrzycki poprzedził album wstępem, w którym kreśli historję „miasta żywych kamieni" od najbardziej zamierzchłych czasów, poprzez „złoty wiek" jego rozkwitu materjalnego i kulturalnego aż do ostatnich dziesiątek lat, kiedyto Kraków jako ognisko ruchu niepodległościowego narodu odegrał rolę polskiego Piemontu. O zamierzchłej przeszłości Krakowa pisze dr. Dobrzycki:

„Kiedyś, przed wielu tysiącami lat, na obszar ziemi krakowskiej, wolnej od skorupy lodowców, które dzierżyły w okowach całą niemal przestrzeń późniejszej Polski, w ślad za mamutem i jaskiniowym niedźwiedziem, weszli tu pierwsi łowcy, pierwsi zarazem mieszkańcy tej części Europy. Schron im dawały wzgórza lessowe i mroczne czeluście jaskiń jurajskich, kędy liczne ostały się ślady tych pierwszych osadników ziem polskich. Później przeszły tędy od wschodu dążące ku zachodowi liczne ludy i szczepy, bezimienne, nieznane. A później jeszcze, kiedy już nad Morzem Śródziemnem rozpostarło się rzymskie imperjum, szły tędy, przez ptolomejskie Carrodunum, mnogie karawany kupców, zdążających nad Bałtyk dla zdobycia drogocennych bryłek bursztynu".

„...Aż oto w wieku X z mgławic legendy wyłania się historyczny Kraków. Mroki pogaństwa rozjaśnia światłość wiary Chrystusowej. Na świętych wzgórzach i w gajach bóstw stanęły skromne zrazu i szczupłe kościoły, budowane z drzewa lub kamienia. W drugiej połowie tego wieku Kraków, z panującym nad nim wawelskiem grodziszczem, oraz rozległym szmatem krainy nad górnem dorzeczem Wisły, zostaje zespolony nierozerwalnemi już na zawsze więzami z państwem polskiem, budowanem wtedy dłońmi Mieszka I i syna jego Bolesława Wielkiego".

Zdjęcia fotograficzne w albumie przedstawiają różne fragmenty miasta, Wawelu katedry, grobów i zamku królewskiego, kościoła Marjackiego i jego Wielkiego Ołtarza, Bibljoteki Jagiellońskiej, Barbakanu, starych, charakterystycznych zaułków miasta i jego zabytkowych budowli. Zdjęcia te, na najwyższym technicznym poziomie wykonali: J. Bułhak, inż. Hubl, Stan. Kolowiec, St. Mucha, Jakób Krieger, Feliks Nowicki, Jan Szwedo, kpt. H. Wojciechowski. Tekst objaśnień w językach polskim, francuskim, angielskim i niemieckim. Całość tego dzieła może słusznie stanowić wzór, jak wyglądać powinna dobra praca propagandowa. **(j. w.)**

---

rzuciła na skrzynię. Gorycz, zniechęcenie i wstyd ogarniał ją wciąż wielki. Na Boga, w jakiejże to ziemi żyć jej przyszło?

Prawda, klasztor jest wielce zasobny, książęciu niejednemuby się patrzył, basztka jedna i druga, mur wysoki, izbice chędogie, a i kościół zacny. Ale — jest i lipa na podworcu, koło której nikt z tutejszych nie przejdzie, by jakowegoś znaku ręką nie uczynić.

Opatrzenie dał rycerz Jaxa, że drugiego takiego dalekoby szukać; wszelako nie do klasztoru to, ni nie na zakonnice owa Nawojka, Złotka, Pachna. Uśmiechnęła się cierpko stara mniszka. A wiera — siostra Priscilla, Walburga i Innocenta — jaki habit, tak owe chrześcijańskie miana nie dla nich, Ot, w domu siedzieć, kądziel prząść i dziecek pilnować.

Zmarszczyła brwi pani Ekberta. — Może istotnie lepiej wszystkiego poniechać, wynieść się, skąd przybyła, niech kto inny, młodszy, krzepciejszy, niż ona, to jarzmo powlecze. Jeno ślubowiny młodych mniszek przebędzie — trudno, ale potem wróci, wróci do klasztoru w Moguncji, gdzie modlitwą i cnotą zawiewa zewsząd, jak wonią kadzidła. Wspomniała celę swą słoneczną, wyniosłą, kaplicę i chór, gdzie co godzinę rozbrzmiewały modlitewne głosy.

Zacisnęły się ręce starej opatki, w zapatrzonych przed siebie oczach błysnęły łzy...

— — — — — — — — —

Noc dobiegała kresu. Noc czuwania i wigilijnych modłów przedobłóczynowych. Cisza uroczysta snuła się po kątach kościoła, który szedł białemi arkadami kamiennych słupów ku wielkiemu ołtarzowi, gdzie trwały w modlitwie ksieni i Nawojka, ostatni raz tak nazwana dzieweczka, zanim jutro z imieniem siostry Priscilli zostanie pogrzebiona dla świata. Ostatni raz oblekły ją odświętnie klasztorne siostrzyczki w białą szatkę, kochającemi dłońmi splotły ciemne kosy, a ksieni zwieńczyła ją koroną świętej Hildegardy.

Dziwnie matczynem uczuciem wezbrało serce starej opatki, gdy na tę biało ubraną dziewczynę patrzyła, wyrazy czułe, nigdy niewymówione cisnęły się jej na usta:

— Córuś, córuś!...

Roześmiało się w niej nagle serce do uciech niedoznanych. Z tem większą tkliwością patrzyła na Nawojkę, która młodością swoją i ją zdołała zaczarować na chwilę, i choć niedawno jeszcze źliła się na pogańskie praktyki w jej oczach odprawiane, wyjęła teraz ze skrzyni święty wieniec.

— Niech se ta ma biedota, — pomyślała — ten jeden raz, a niechta.

Sama też wwiodła ją za rękę do kościoła, przykazując modlitwą i skupieniem serce do jutrzejszego święta przysposobić.

Chłód był w kościele, mimo, że przez uchylone okno przywiewało z pola ciepło letniej nocy. Znużenie jęło się wkradać do członków starej ksieni. Krzepiła się jak mogła, prostując zgarbione plecy, poprawiając się na wysokiem, opackiem krześle. Nie pomogło. Zdrętwiałe palce raz po raz gubiły różańcowe ziarnka, głowa chyliła się bezwolnie na piersi, powieki opadły na zmęczone oczy. Ostatnim wysiłkiem podźwignęła głowę i ujrzała w mroku białą postać Nawojki, która trwała z ramionami rozłożonemi w krzyż, tak jak uklękła w chwili przyjścia.

Młoda — uśmiechnęły się sine wargi starej ksieni — ona młoda, a ja... duch ochoczy, ale ciało mdłe. O Panie, zrozum...

Zasnęła pani Ekberta i nawiedziły ją zwidy cudne i ukochane. Oto powróciła do rodzonej Moguncji, gdzie tak łatwo było jej kroczyć śladami świętego biskupa Norberta.

...Dłużą się krzyżowemi dróżkami i wyjaśniają witrażowym blaskiem klasztorne krużganki. Spokój i błogość nieziemska ogarnia staruszkę. Jak lekko stąpa... Czy skrzydła ma u ramion? Zalim w niebie już? — pyta, choć poznaje miejsca od dziecka oglądane. Och, wrócić tam, wrócić, choć na jeden dzień, choć na ostatnią godzinę życia... — Obudził panią Ekbertę przedrankowy ziąb i szarość świtu uporczywie wglądająca w jej zamknięte oczy. Dźwignęła głowę...

Kościół pełen był ruchliwych, pierzchających przed światłem cieni — i dziw — i pełen odurzającej woni kwiatów.

Ksieni zdumiona niepomiernie chłonęła ten zapach chciwie. Skądże tu zjawiły się lilje o tak wczesnej porze, niehodowane w żadnym wirydarzu? Czy z nieba spadły róże wonięjące?

Spojrzała ku ołtarzowi. Na czoło i ręce klęczącej dziewczyny słońce kładło już złociste stygmaty, a w tych blaskach prężyły się ku światłu zmartwychwstałe na jej włosach róże i lilje śnieżyste...

Runęła na kolana stara zakonnica i wlec się poczęła ku ołtarzowi, nieraz w tym pochodzie bolesnym bijąc czołem o kamienne płyty posadzki i zcałowując pył kościelny drżącemi wargami.

— Iżem śmiała przeciw posłuszeństwu występować — jęczała, bijąc się w piersi — moja wina. Żem przeciw siostrom moim złe myśli w sercu żywiła, żem tę krainę i lud za pogański i szatanowi zaprzedany miała, o Boże, przebacz mi! Jakżem mogła zapomnieć, że łaska Twoja, gdzie chce, przeniknie i wszystko zdziałać może. Oto widzę cud istotny, któregom oglądać niegodna. Zali jako te kwiaty święte, rozkwitnąć ma w tej ziemi królestwo Twoje, Panie? I mnieś to zwolił ręki pyłożyć do dzieła tego, a zaślepiona rwałam się stąd precz, rozkazy Twoje chcąc podeptać... Ino mi nie pamiętaj tego! Służyć Tobie i ziemi tej będę — ile sił i rozumu starczy. Już tu do końca żywota ostanę. Ostanę...

Łzy bujne płynęły z oczu opatki po żłobkach pomarszczonych lic, tak iż widziała jeno przed sobą drgające cienie w tęczowem otoczu. Lecz dowlokła się mimo utrudzenia ogromnego do stopni ołtarza i ku odkwitłym łaską bożą kwiatom, wyciągnęła ręce.

—:000:—

ŻYCIE RELIGIJNE.

Wyniki antyreligijnego wychowania w Sowietach.

O stanie religji w Rosji Sowieckiej kursują najrozmaitsze wieści. Jedni twierdzą, że potworna piatiletka bezbożnicza rozłożyła już prawie całkiem kapitał religijny tkwiący w ludności rosyjskiej, — drudzy głoszą, że mimo wszystko uczucia religijne utrzymały się bardzo żywe i przytaczają różne fakty masowego odwiedzania niewielkiej już wprawdzie liczby cerkwi w Moskwie czy na prowincji. W tej mierze ciekawą będzie rzeczą przytoczyć parę danych z ankiety, przeprowadzonej w 1935 r. przez jednego z członków wojującego ateizmu, na przedmieściach Moskwy. Ankieta zamieszczona była w dwumiesięczniku „Antireligioznik". Dotyczyła ona 129 dzieci ze szkoły powszechnej, z czego 67 pochodziło z przedmiejskiego miasteczka, a 62 ze wsi. Autor pisze:

„...Ankieta potwierdziła najpierw, że poważna liczba naszych dzieci w wieku 7—8 lat, wolna jest rzeczywiście od wszelkiego zabobonu odnośnie do istnienia Boga. Odpowiedzi 65 dzieci wykazały, że dzieci te nic nie wiedzą o Bogu, lub jeśli o Nim slyszały, nie przywiązują do tego żadnej uwagi: zaprzeczają istnieniu Boga. Żadne z tych dzieci nie modli się, ani nie chodzi do kościoła".

Następnie czyni autor znamienne wyznanie: „Nigdzie, w żadnym kraju, coś podobnego nie może się zdarzyć! Podobne dzieci mogą się znaleźć tylko w kraju, budowanym przez socjalizm, w kraju, który wznosi nowe życie bez Boga, bez księdza, bez właściciela czy kapitalisty".

A oto odpowiedzi dzieci! „Nie modlę się, nie chodzę do kościoła" (córka robotnika, 8 lat). — „Nie modlę się. Nigdy nie byłem w kościele" (syn urzędnika, 8 lat). „Nie chodzę do kościoła, nie lubię go. Cóżby mi się mogło tam podobać?" (córka rzemieślnika, 8 lat). — „Nie wiem, co to jest Bóg — to chyba nie istnieje" (syn robotnika, 8 lat). — „Babka mówi niekiedy: Boże, Boże. Ale nie wierzę jej" (córka urzędnika, 8 lat). — „Nie wierzę w Boga, nigdy Go nie widziałem. Nie modlę się, nikt mnie do tego nie pobudza. Nigdy nie byłem w kościele. Ksiądz był raz u nas, ale mnie nie było" (syn kołchoznika, 7 lat). „Nie wierzę w Boga. Djabła nie ma. Spaliliśmy ikonę (obraz świętego). Nie modlę się" (syn kołchoznika, 7 lat). „Nic nie wiem o Bogu: niema Go. Dlaczego miałbym się Go obawiać" (syn robotnika, 7 lat). „Nie modlę się: nikt się u nas nie modli. Nie chodzę do kościoła, nie wiem jak on wygląda" (syn urzędnika, 8 lat).

DZIECI „WIERZĄCE". — Takie są odpowiedzi więcej niż połowy dzieci, w przeprowadzonej ankiecie. Umysłowość jednak 64 dzieci jest, jak się wyraża autor, „przyciemniona pojęciami religijnemi i zabobonnemi co do istnienia Boga". Prawie połowa tych dzieci religijnych modli się, znaczna część uczęszcza do kościoła. Co więcej, 31 dzieci modli się w domu, a 13 oświadczyło, że modli się bez żadnego przymusu. Na 42 chodzących do kościoła 18 oświadczyło że lubią do niego chodzić. A oto, jak sobie te dzieci wyobrażają Boga i religję.

„Bóg, to jest ksiądz: prowadzi ludzi do kościoła. Jest dobrym" (syn robotnika, 7 lat). „Bóg, to ojczulek (nazwa księdza rosyjskiego). Jeśli ktoś umrze, przychodzi, by go pogrzebać" (córka robotnika, 7 lat), „Boga widziałem w Usowce. Jest dobry i wielki. Ma dużą książkę" (syn kołchoznika, 7 lat). „Bóg jest w kościele. Nie boję się Go. Papa pokazał mi książkę z obrazem Boga" (syn urzędnika, 8 lat). „Bóg jest. On jest, jak ksiądz. Nic nie boję się go" (córka robotnika, 7 lat). „Bóg? Zawieszony jest u nas na ścianie, jest ze srebra, nie boję się Go, kocham Go. Modlę się, jak się modlą w kościele (syn rzemieślnika, 7 lat)... „Bóg jest w niebie. Karze tych, którzy go nie słuchają" (syn robotnika, 7 lat). „Bóg jest w niebie, bierze do siebie tych, którzy umierają i wówczas ich leczy" (syn urzędnika, 7 lat).

Autor dowiaduje się jeszcze o innych ciekawych rzeczach. Oto wiele z tych dzieci, które nie wierzą w Boga, przepojonych jest wiarą w jakieś nadprzyrodzone byty, które je otaczają: wierzą więc w duchy domowe, w duchy leśne, w duchy wodne i td. Podobnie rzecz się ma i z rodzicami tych dzieci. Znamienną jest rzeczą ten powrót mitologicznych przeżytków w miarę cofania się chrześcijaństwa. Kampanja antyreligijna doprowadziła do zupełnej ignorancji. Oburzają się z tego powodu nawet oficjalne „Izwiestje". Starszemu już uczniowi — czytamy — zadano pytanie: „Co to jest episkop?" (biskup); odpowiedź brzmiała: — „Wiem, co to jest mikroskop, co teleskop, co elektroskop — ale coby mógł znaczyć episkop, — tego nie wiem". Ostatecznie, nie ma się czemu dziwić, jeśli się weźmie pod uwagę, że według oficjalnej nauki sowieckiej, historja Rosji zaczyna się od października 1917 r. Kij ma dwa końce.

—:000:—

Odrodzenie przez Ewangelję.

Do ulubionych w XVII i XVIII wieku dyskusji należała „kwestja wyższości" między starożytnością a czasami nowożytnemi. W taką tematykę obfitowała zwłaszcza literatura francuska, grupując zwolenników pro i contra w zażarte nieraz klany. Romantycy przesunęli nieco oś dyskusyjną na inne pole, a czasy najnowsze znalazły też swoistą płaszczyznę dyskusyjną w zagadnieniach postępu. Jego sformułowanie według utartego już szablonu brzmi: „czy z postępem wiedzy i cywilizacji materjalnej idzie w parze postęp moralny ludzkości?" Takie tematy obrabiane są już na ławkach wyższych klas gimnazjalnych i zależnie od temperamentu, rozwoju umysłowego i wrażliwości oraz doświadczenia moralnego uczniów padają odpowiedzi w tę czy inną stronę. W publicystyce zaś można rozróżnić kilka prądów, zależnie od gleby filozoficznej i środowiska społecznego. Materjaliści mało skądinąd dbali o samą ideę i czystość etyki ludzkiej, ile o jej stronę społeczno-ekonomiczną, będą opinjowali jednostronnie o potrzebie zwalenia etyki burżuazyjnej, jako etyki religijnej, jako etyki niewolniczej i w tem będą się dopatrywali braku postępu ludzkości, że te obie etyki, nieraz błędnie utożsamiane, nie są jeszcze z życia całkowicie wyeliminowane. Spirytualiści różnych odcieni, zgodnym chórem wydają wyrok potępienia na ten dzisiejszy, rzekomy, postęp cywilizacji i wbród znajdują argumentów na poparcie tezy, że należy zahamować jednostronny postęp materjalny, a co rychlej jąć się pracy nad moralnemi brakami człowieka dzisiejszego. Znamienne są nawet tytuły różnych dzieł, charakteryzujących tę postawę krytyczną: „świat bez duszy", — „dusza w mroku", — „konieczna rewolucja (duchowa)" i t. d.

Niedawno temu wyszła w Paryżu książka wybitnego uczonego lekarza Dra Carrel'a, laureata Nobla, nosząca też dość niezwykły tytuł: „Człowiek, ten nieznany" (L'homme, cet inconnu, Księg. Plon). Autor, pracujący od szeregu lat w bogato wyposażonym Instytucie Rockefellera w New-Yorku, ma prócz wyjątkowej wiedzy w zakresie nauk przyrodniczych także wielki zapas obserwacji i doświadczenia z innych dziedzin. Dochodzi on do wniosku, że mimo niewiarygodnego wprost postępu wiedzy, techniki i środków naukowych, **to, co najmniej jest znanem, to jest sam człowiek,** a w nim jego wartości duchowe i moralne. Ostatecznie, długa i sumienna rozprawa Carrel'a, pisana na marginesie jego pracy zawodowej, nie jest jakąś wyjątkową rewelacją dla ludzi o głębszej kulturze duchowej. Conajwyżej pocieszającym jest ten objaw, że te wywody pochodzą od lekarza i to o wyjątkowej wartości naukowej. Świadczy to bowiem o fakcie, że co tęższe umysły ze świata medycyny otrząsły się już z agnostycyzmu i nawet w zakresie swej wiedzy i techniki wołają o nawrot do nauk moralnych. Sedno rzeczy teraz tkwi w tem, jaką ma być ta moralność. Sprawa nie jest wcale tak prostą, jak się wydaje, z racji dzisiejszego rozszczepienia religijnego w Europie, a nawet, co gorzej, wobec panoszenia się materjalizmu etycznego o zabarwieniu jużto proletarjackim, jużto burżuazyjnem. Ale nawet i w krajach, gdzie religja katolicka czy protestanckie formalnie cieszą się mniej lub więcej wolnością, zaraza demoralizacji zajęła już wielkie przestrzenie działalności ludzkiej. Parokrotnie już papieże w szeregu ostatnich Encyklik nawoływali do powrotu ludzi do nakazów Ewangelji, jako źródeł moralności — dla ratowania nawet zagrożonej ludzkości mobilizują ostatki nieraz ludzi dobrej woli i gorącego serca — w „wieczerniki" Akcji Katolickiej. Na barkach tych ludzi świeckich, stojących przy boku Kościoła z gotowością niesienia płomienia Ewangelji w wyziębione religijnie szeregi swych współwyznawców — ciąży zadanie dobrego zapoznania się ze źródłami społecznemi niewiary czy niemoralności i umiejętnego podejścia terapeutycznego.

Spostrzeżono bowiem dość szybko, że i ci, którzy mają wprowadzić żywszy obieg krwi w dusze sklerozą religijną dotknięte, sami potrzebują silniejszej zaprawy duchowej i to takiej, któraby nietylko w umysłach, ale i w sercach się osadzała i rosła. Konkretnie uznano więc za stosowne zbliżyć i naszych „apostołów" do świata Ewangelji, przez czytanie jej, przez komentarz praktyczny i możliwie najwięcej o nurt życia związany przez pogadanki, metodą sokratycznej indukcji — przez swobodne i wszechstronne dyskusje. Ruch ten wprowadzony początkowo w organizacjach katolickich rozlał się na szersze pola i stał się osobnem apostolstwem Ewangelji. We Francji istnieje od kilku już lat „Ligue de St. Evangile", — w Niemczech wzrasta, od czasu wojny bardzo silnie ruch biblijny (Bibelbewegung) mający swe tanie wydawnictwa Pisma Św., — swe perjodyki i rozprawy pomocnicze dla organizacji. U nas w Polsce zaprowadzono już w niektórych wielkich związkach organizacji t. zw. kwadranse ewangeliczne: w katolickich Stowarzyszeniach kobiet, młodzieży, w związkach akademickich. Przy głębokiem wyrobieniu duchowem księży asystentów i ich dobrych kwalifikacjach pedagogicznych — osiągnięto w niektórych ośrodkach wyniki zgoła niezwyczajne. W życie wychodziły zastępy ludzi całkiem nowych, świeżych, o wielkiej dynamice moralnej — nawskróś czystych i prostych jakby chrześcijan nieznanego dotąd typu. Sądzić należy, że przy intensywniejszej kulturze przez Ewangelję, katolicyzm w Polsce pogłębi się i stanie się więcej jędrnym. Dla dzisiejszej generacji młodych, nie smakujących w długich spekulacjach i wywodach, krótkie i proste zasady, Ewangelji najlepiej utrwalają się w pamięci i pobudzają do wielkiego, ofiarnego wysiłku. Za umiłowaniem Ewangelji przyjdzie odrodzenie jednostek, rodzin i społeczeństwa — wierzmy w to! **J. S.**

Kościół jako ciało Chrystusowe wpływ swój rozciąga na wszystko, co jest boskiego, więc także na ciało człowieka, na jego potrzeby zmysłowe i namiętności, tak samo jak na jego rozum i wolę. A uwalniając łaską uświęcającą ciało to, tę zmysłowość i namiętności z przeciwnych jego celowi więzów przyziemności i samolubstwa, Kościół nietylko odzyskuje je na nowo dla Królestwa Bożego, lecz nadto uszlachetnia je w wysokim stopniu i pogłębia. Kościół, pełniąc swe posłannictwo, burzy coprawda od fundamentów starą budowlę ziemską człowieka, przyjmuje jednak materjał starej budowy do budowy nowej, tak iż dopiero teraz budulec ten dostaje się na właściwe miejsce, odzyskuje właściwe znaczenie, piękność całkowitą i blask. Kościół tak afirmuje człowieka i takim go chce mieć, jakim on wyszedł z ręki Boga, w piękności swego ciała, w żarze swych zmysłów, w żywiołowym rozmachu swych namiętności, z rozumem, który olśniewa mądrością i z wolą, która tryska siłą. I tak wychowuje go, iżby ten człowiek pełen gorąca i rozmachu, z umysłem jasnym a wolą żelazną, należał do Boga i wszystko, co jest wielkiego i wspaniałego w jego pierwotnem, przyrodzonem uposażeniu przez Boga, w nadprzyrodzonym związku z boską podstawą swego życia doprowadzał do wewnętrznej jedności i udoskonalenia.

Ks. Karol Adam.

Z OBCEJ NIWY.

Człowiek i klasa.

W dodatku kulturalno - literackim z 31. V. b. r. przytoczyliśmy fragment z książki rosyjskiego filozofa Berdiajewa p. t.: „Chrześcijaństwo i walka klas". Rosyjski filozof ma przed oczyma rzeczywistość rosyjską, a kiedy mówi o Kościele, to myśli o prawosławiu. Niemniej jednak zachodzi zbieżność jego poglądów z nauką społeczną katolickiego Kościoła. Stwierdzić to łatwo zwłaszcza po przeczytaniu poniższego ustępu, wziętego z tej samej książki Berdiajewa:

„Kiedy mówimy o przezwyciężaniu nienawiści, nie pojmujemy tego w ten sposób, by Kościół miał inicjować godzenie klas oparte na bierności tych, które są uciskane i wyzyskiwane. Byłoby to dwulicowością i wybiłoby fatalnie na Kościele piętno ducha burżuazyjnego. Walka nie zawsze jest złem, jest również dobrem. Jest rzeczą niewłaściwą głosić pokorę wyzyskiwanym, kiedy należałoby zwrócić się z temi upomnieniami przedewszystkiem do wyzyskujących. Kościół musi potępić ucisk i wyzysk człowieka przez człowieka, potępić je przedewszystkiem z punktu widzenia moralnego i duchowego, a nie w imię jakiegoś systemu społecznego, musi błogosławić poszukiwaniom ustroju bardziej sprawiedliwego i ludzkiego i powierzyć troskę o lepszą przyszłość działalności i wolności ludzkiej.

Walka społeczna jest nieuniknioną i w każdym razie do niej przyjdzie: nie jest zadaniem chrześcijaństwa określenie technik i metody tej walki: musi ono jednak stworzyć atmosferę duchową i moralną dla dusz ludzkich, które w niej udział biorą i zwalczać grzech, który rodzi demoniczną zawziętość.

Świadomość chrześcijańska musi przedewszystkiem przeprowadzić zasadnicze rozróżnienie między postawą odnośnie do człowieka, do istoty ludzkiej a postawą odnośnie do klasy. Pierwsza, głębsza, bardziej pierwiastkowa, związana jest z wiecznością, druga częściowa i pochodna, związana jest z czasem. Człowiek, a nie klasa, jest dziedzicem wieczności. Klasa jest czemś „dalekiem" — człowiek zaś jest „bliskim". W obliczu śmierci i wieczności, wszystkie klasy są zrównane, człowiek tylko pozostaje. Problem człowieka i klasy jest naszym zasadniczym problemem. Jeśli w społecznych konfliktach chrześcijaństwo bierze stronę klasy robotniczej, to musi to czynić nie w imieniu tej klasy, ale w imię człowieka, w imię godności robotnika, w imię jego prawa ludzkiego, jego duszy, zgniecionej przez kapitalizm. Między tą koncepcją a materjalistycznym socjalizmem klasowym różnica jest wielka. Jest ona zdecydowanie personalistyczną. Chrześcijaństwu więcej zależy na indywidualizacji, niż na kolektywizacji. Maszyna, która stworzyła kapitalizm, wszystko uczyniła kollektywnem i bezosobowem, ale należy przypuszczać, że późniejszy rozwój techniki doprowadzi do tworzenia maszyn, korzystnych dla postępu indywidualizacji i że wówczas bezosobowość, zrośnięta tak z kapitalizmem, jak i z komunizmem zniknie".

Miłosierdzie? — Któż pomści je za to oblicze mazgajowate, z jakiem się je często pokazuje? Kiedyż zrozumieją ludzie, że miłosierdzie jest nieodłączne od nienawiści czynnej, gwałtownej, nieprzebłaganej, niszczącej i wiekuistej — nienawiści zła? Kiedyż zrozumieją ludzie, że, aby być łagodnym względem człowieka, który błaga o przebaczenie, trzeba być okrutnym względem wroga ludzi, który ssał krew tego klęczącego, okrutnym względem błędu, grzechu i śmierci?

Oddawna zła wola i głupota zmówiły się, aby nadać cnocie wygląd niedołężnego mazgajstwa i nużącej bezbarwności. Nikt nie domyśla się, jak daleko sięga niebezpieczeństwo takiego błędu. Nikt nie domyśla się, do jakiego stopnia ludzie spragnieni wielkości odstręczani bywają od Boga przez małe książki, które go czynią małym.

Ernest Hello.